



TYPY LUDOWE.



fol. Al. Janowski.

DZIEWCZĘTA Z JACKOWIC, POW. ŁOWICKI.



S. Matusiak.

## Jeszcze o naszej drużynie weselnej.

2)

Rycerze, należący do wojskowej drużyny wita, byli wojami, t. j. żołnierzami, ale to przecież nie to samo, co woje, należący do rodowej drużyny wita; to też musiała z czasem wytworzyć się dla nich także inna nazwa. Jako należący specjalnie do wita, powinni się byli zwać u nas \*wicice (= witice) lub \*witnicy. Pierwszej formy, o ile wiem, w źródłach historycznych nie napotykamy; jeżeli była, zastąpiła ją wcześniej i zagładziła obca witing, o czym niżej; drugą, jak mi się zdaje, zachował kronikarz Thietmar, nazywając straż słowiańską, zamieszkującą część miasta Strela (w Miśni), którą właśnie zdobywał nasz Chrobry, wethenici, po łacinie także także *satelitas, speculatores*<sup>1)</sup>.

Nie trudno pojąć, że z taką przyboczną drużyną wojskową naczelny wit mógł łatwo zdobyć sobie uprzywilejowane stanowisko nie tylko wśród własnego rodu, ale także władzę naczelną nad innymi rodami, potem nad całym swym plemieniem, wreszcie także nad innymi plemionami, i stać się tem, co później oznacza się obcym wyrazem król. I taki też najpewniej był początek pierwszych naszych rodów królewskich: Popielów, a może i Piastów, i początek naszej monarchii.

3. Czasownik witać jest mojem zdaniem pozostałością po czasach witów. Wspólny on wszystkim językom słowiańskim, a więc odwieczny, jak same wity. Jak od brat, swat mamy bratać się, swatać się z kim, t. j. „czynić się, nazywać się czyimś bratem, swatem (krewnym)“: tak od wit mamy witać się z kim, t. j. pierwotnie „czynić się, nazywać się wzajemnie (jeden drugiego) swoim witem czyli władcą, panem“<sup>2)</sup>, mianowicie przy spotkaniach, skąd

potem tyle, co „pozdrawiać się“, co dzisiaj „witać się“. Przy uroczystych spotkaniach witać kogoś znaczyło „nazywać go witem swoim, panem swoim“, a dalej „przyjmować go w gościnę“, a ponieważ to nie ograniczało się do samego powitania, lecz rozciągało się także do przyjęcia i ugaszczania, trwającego nieraz wiele dni, stąd witać kogoś przyszło także do znaczenia „ugaszczać kogoś, przyjmować kogoś“; stąd znowu „witać gdzie“ zaczęło oznaczać „ugościć gdzie, przebywać gdzieś w gościnie“<sup>1)</sup>, a zawitać gdzie tyle, co „zagościć gdzie, przybyć gdzieś w gościnę lub na krótki pobyt“.

4. W formie wita (vita) dostał się słowiański wit (który w 1 przypadku mógł brzmieć także wito lub nawet wita), zapewne od Słowian nadelbiańskich do drużyn anglosaskich i oznaczał tutaj tyle, co „natu maior“ (starszy), „optimas“ (znamienitszy), „procer“ (przedniejszy, a więc to samo, co „comes“ i „senior“, to samo, co nasz „starosta“<sup>2)</sup>, bo też słowiański wit to właśnie musiał mieć znaczenie, zanim doszedł do znaczenia „władcy, króla“. Są ci witowie germańscy „consilarii regis“ doradcami swych kuningów (królów)<sup>3)</sup>, ale niezawodnie stawali i na czele drużyn rodowych, jak nasi witowie i miewali przy swych drużynach, jak nasi witowie, drużyny wojskowe, o czym można napewno już z tego wnioskować, że na oznaczenie takiego wojaka powstał wyraz germański witing, oznaczający to samo, co nasz \*wicic (\*witic) i \*witnik (przyrostek germ. -ing równa się, jak wiadomo, pod względem znaczenia naszemu -ic) i w znaczeniu „rycerza, bohatera, zwycięzcy“

<sup>1)</sup> Thietmari Chronicon V, 6.

<sup>2)</sup> Przemawiając może do siebie: „mój wicie“, jak Francuzi: „mon senieur“, dosłownie mój starosto“, z czego dzisiaj monsieur „par“.

<sup>1)</sup> W tem znaczeniu zna już ten wyraz język starocerkiewny.

<sup>2)</sup> J. Grimm. Deutsche Rechtsaltertümer I. 266—267.

<sup>3)</sup> J. Grimm I. c.



dostał się do języków słowiańskich, skąd ros. wityaż, czeskie vitez i nasz z czeskiego witez. My posiadaliśmy niegdyś ten wyraz, także jako wprost z niemczyzny zaczerpnięty, a brzmiał od wyciądz, skąd potem poszło wyciężyć, wycięstwo i t. p., potem zwyciężyć, zwycięzca, zwycięstwo i t. d.

U dawnych Prusaków litewskich między Wisłą a Niemnem zwolennicy Krzyżaków zowią się wityngi<sup>1)</sup>, z czego widać, że witing znaczyl tutaj to samo, co Ritter. Adam Bremeński zowie w swej kronice piratów skandynawskich także wityngami: „piratae, quos illi withingos appellant“<sup>2)</sup>, lecz u Skandynawów pirata taki zowie się vikingr, nie vitingr i można mieć pewne wątpliwości, czy to ten sam wyraz, co anglosaski witing, gdyż vikingr może pochodzić od wyrazu germańskiego wic (g) „Kampf“ i oznaczać pierwotnie tyle, co „Krieger“, co staropolskie „walecznik“. Polski wyciądz, ros. wityaż, czeski vitez i t. d. pochodzi w każdym razie od anglosaskiego witing, nie od skandynawskiego vikingr.

Możnaby, oczywista, i tak twierdzić, że nie Niemcy od Słowian, lecz Słowianie od Niemców przejęli, jak wyraz witing, tak i wít, lecz twierdzenie to, na niczem zresztą nie oparte, kuleje już przez to, że w takim razie całe mnóstwo nasuwających się pytań pozostanie bez racjonalnych odpowiedzi: nie będziemy np. wiedzieli, skąd u nas bierze się woj? dlaczego w wyrazie witać jest *i*, a w wyrazie wyciądz, wycięzać mamy *y*? Jeżeli wít jest germański, to musiałby być germańskim i w nazwie bóstw słowiańskich najwyższych, jak Swante wít i Jarowít, co jest rzeczą mało prawdopodobną i t. d. i t. d. Niemcy wywodzą swego wita od wyrazu wissen (wiedzieć),

więc niby „wiedzący, mądry“ — cóż, kiedy źródła historyczne w tem znaczeniu wita nie znają, a moment wiedzy i mądrości nigdzie zresztą w drużynach, nawet germańskich, choć zapewne bardzo szanowany, nie dał podstawy do nazwania druhów. Właśnie ten brak odpowiedniej etymologii wyrazu wít w germańszczyźnie, brak tego terminu w innych drużynach germańskich prócz anglosaskich, a bardzo silne zespolenie tego wyrazu z całym organizmem języków słowiańskich, z mitologią słowiańską (Swante wít, Jarowít), z imionictwem słowiańskim (porów. Ziemowít, Witosław, Wítost, Przywít i t. p.), z obyczajem prasłowiańskim związania rąk nowożeńcom („rękowiny, więziny“), tudzież z ustrojem drużyn słowiańskich (wít obok woj), wreszcie analogia słowiańskiego wyrazu wít w znaczeniu pierwotnem „wiązany, ożeniony, mąż“ z rzymskim wyrazem coniux „małżonek, małżonka“, a właściwie „sprzągnięty(a), związany(a) wspólnem jarzmem“ i ze starocerkiewnym szprąg „małżonek“, szprąga „małżonka“, a właściwie „sprzągnięty(a), związany(a) wspólnym więzem“; analogia naszych „rękowin i więzin“ z łacińskim copulatio „ślub“ a właściwie „rękowiny, więziny“ i t. d. — skłania nas do przypuszczenia, że wít to wyraz u Słowian rodzimy. Gdyby zamiast formy wita była w germańszczyźnie forma wida, możnaby mniemać, że to wyraz germański, wytworzony w germańszczyźnie niezależnie od słowiańskiego wita w tem samym znaczeniu i od tego samego pierwiastka wi-(ć), gdyż i u Germanów zaślubiny polegały na związaniu młodym rąk, skąd też staroniemieckie wídamo „wiano“, a właściwie „wiązadło“ lub „witne“, jak to zaznaczyliśmy już wyżej; skoro jednak w niemczyźnie mamy formę wita, nie wida, to i to przypuszczenie ze względów lingwistycznych odpada, sama forma wita wskazuje, że mamy tu do czynienia z wyrazem słowiańskim.

<sup>1)</sup> A. Brückner. Starożytna Litwa 45.

<sup>2)</sup> Zob. Fr. Miklosich. Gramm. I, 32.





Ks. Stanisław Muznerowski.

## Kościelna wieś pod Kaliszem.

2)  
(dok.)

Omawiany dokument miał być potwierdzony i nowymi przywilejami obdarowany przez Przemysława II, księcia wielkopolskiego, w r. 1278 d. 30 marca. Wydawcy „Kodeksu dypl. wielkopolskiego” i ten dokument kwestyonują, bo nazwiska świadków są przekręcone i rok mylnie podany, gdyż zamiast 1278 powinno być 1294. Zasłużony badacz naszej przeszłości, Kętrzyński, w kodeksie dypl. tynieckim utrzymuje, że powyższy dokument jest sfałszowany. Obydwa podejrzane co do swej autentyczności dokumenty zostały potwierdzone przez Kazimierza Jagiellończyka w r. 1467 d. 22 maja na sejmie w Piotrkowie i przez Zygmunta III w r. 1603 d. 16 marca w Krakowie.

W przywileju, jakoby Mieczysława Starego, wspomniana jest wieś Lisiec pod Koninem; otóż wieś ta niedługo należy do benedyktynów, bo już w r. 1232 na prośby prepozyta klasztoru, Zdzisława, książę Władysław i dwaj jego synowie: Przemysław i Bolesław zamieniają ją na dwie wsie inne, Ziemięcín i Upuszczewo, zwolniwszy je od wszelkich ciężarów i podatków<sup>1)</sup>.

Wyżej mówiło się, że między ustępującymi z Kościelnej Wsi norbertanami, a obejmującymi ich miejsce benedyktynami wywiązał się spór, który został załatwiony sądem polubownym w Wiślicy w r. 1219. Opat benedyktynów w Tyńcu, otrzymawszy w r. 1229 od Grzegorza IX „prawo patronatu” nad klasztorem w Kościelnej Wsi, niezadowolony z powyższego wyroku, wszczyna znowu sprawę, aż w r. 1234 d. 6 lutego zostaje ona załatwiona na następujących warunkach: norbertanie mają odstąpić benedyktynom wieś Gzense (Książ) z przyległościami; za kielich zabrany z Kościelnej Wsi mają zwrócić kielich zrobiony z grzywny złota i wręczyć go opatowi tynieckiemu; wszystkie zaś inne rzeczy, jak ornaty, dalmatyki, księgi i t. p. mają zwrócić do Kościelnej Wsi; nadto mają zapłacić benedyktynom 35 grzywnien srebra kosztów sądowych; w końcu zagrożono stronom, że w razie podniesienia ponownie sprawy, zapłacą po 30 grzywnien złotych kary na korzyść przeciwnika<sup>2)</sup>.

Jakkolwiek klasztor tyniecki miał „prawo patronatu” nad klasztorem kościelnowiejskim, to jednak prepozyci tutejsi byli panami swoich dóbr, rozporządzając niemi samowolnie. Pomijali też Tyniec, nie prosząc o zatwierdzenie różnych tranzakcyi i robionych darowizn. Tak np. prepozyt Wojciech daje kmieciowi Ludwikowi w r. 1273 dwa łany roli, wolne od wszelkich ciężarów z wyjątkiem mesznego; w r. 1303 prepozyt Klemens daje znowu kmieciowi Hildebrandowi także dwa łany z warunkiem, by oddawał do klasztoru po funcie pieprzu w wigilię Wielkiejnocy i w wigilię św. Wawrzyńca. W r. 1326 prepozyt Jan za zgodą braci zakonnych sprzedaje sołtystwo we wsi Piotrowie Wojciechowi i braciom jego: Pawłu i Czesławowi za 4 grzywny; sprzedaż tę potwierdza w roku 1348 opat tyniecki, Henryk<sup>1)</sup>. W r. 1364 prepozyt Lorysław odnawia przywilej na sołtystwo w Głogowie niejakiemu Adamowi i żonie jego, Dobce, gdyż poprzedni miał im się spalić<sup>2)</sup>. W r. 1584 opat tyniecki karcii prepozyta tutejszego, Kacpra Sierakowskiego, za złą gospodarzę i zakazuje mu, by się nie ważył wydzierżawiać majątków klasztornych.

Co się tyczy tutejszego starożytnego kościoła, to pierwszą obszerniejszą o nim wiadomość znajdujemy w „Liber Beneficiorum” Jana Łaskiego z r. 1521. Czytamy tam, że Kościół czyli Kościelna Wieś ma piękny murowany kościół, dachówką kryty; że przy nim mieszka prepozyt z dwoma braćmi reguły św. Augustyna (benedyktynów); że do parafii należy sześć wsi: Kościół, którego kmiecie oddają z łanu po ćwiertni żyta i tyleż owsa; Głoski (Głuski), mieszkańcy tej wsi — szlachta, oddają dziesięcinę snopową; Żakowice, Biskupice, Thrukoschowo (Krtusów) i Klyschowo; wszystkie wsie oddają dziesięcinę snopową.

Żali się prepozyt, że wieś Kościół w znacznej części jest spustoszona przez wszelkie daniny zbożowe, jakie musi dawać do Kalisza, a mianowicie: 8 małdratów owsa i 4 grzywny pieniędzy.

Prócz wymienionych wsi, stanowiących pa-

<sup>1)</sup> Kodeks dypl. Wielkopolski Nr. 139.

<sup>2)</sup> Kodeks dypl. wiel. Nr. 160, Tyniecki Nr. 16.

<sup>1)</sup> Kodeks dypl. wielk. Nr. 1070 i 1281.

<sup>2)</sup> Tamże Nr. 1506.



rafie, należą do klasztoru jako jego własność: Krzywosądowa w parafii kuczkowskiiej powiecie pleszewskim; Głogowa pod m. Raszkowem — dyecezya poznańska; Piotrów w parafii pamięcińskiej; Pawłówek w par. kokanińskiej

Żali się prepozyt wizytatorowi, że zbyt wygórowana taksa kontrybucyjna 10 grzywien, już od dawna nałożona, trwa ciągle, chociaż dochód z wymienionych wsi znacznie się zmniejszył, bo wynosi tylko 30 grzywien rocznie; nie może też wystarczyć na utrzymanie zakonników i służby kościelnej<sup>1)</sup>.

O wizytach kanonicznych w XVII w. spotykamy tylko krótkie wzmianki; całkowite sprawozdanie z wizyty takiej jest tylko jedno z r. 1778. Wizytator zaznacza, że prepozytem jest ks. Józef Damian Sadowski, opat orłowski, profes tyniecki i „canonicus natus“ kaliski. Prócz niego jest tylko dwóch zakonników. Kościół przez poprzedniego prepozyta, ks. Fałęckiego, został rozszerzony, ks. Sadowski nakrył go nowym dachem, bieląc tak wewnątrz jako i na zewnątrz; wybudował murowaną kruchtę, postawił dwa nowe ołtarzyki w kaplicach. Szkoły ani przytulku dla starców niema; dzieci uczy organista. Klasztor murowany, gontami kryty, okna silnie kratowane, cel jest osiem. Klasztor oddaje do Tyńca „per modum subsidii charitativi“ 1576 złp. 27 gr.; po pogorzeli opactwa tynieckiego ks. Fałęcki z Kościelnej Wsi przesyła 30,000 złp.

Na ks. Sadowskim kończy się długi szereg prepozytów benedyktyńskich; w d. 5 sierpnia 1782 r. otrzymuje prezentę na probostwo w Kościelnej Wsi od Stanisława Augusta ks. Sebastian hr. Sierakowski, a d. 10 sierpnia 1793 r. Pius VI znosi prepozyturę zakonną i oddaje probostwo w zarząd księży świeckich.

Tak więc przez sześć wieków przebyli tu benedyktyni; posiadając rozległe dobra, nie tylko nie zostawili po sobie żadnego pamiątkowego dzieła, ale owszem przez złą gospodarkę zmniejszyli uposażenie kościoła. Przez złośliwość możnaby przypuszczać, że tę tradycję przejęli po swych poprzednikach, co to „dla życia gorszącego i trwonienia dóbr kościelnych“ zostali wypędzeni z opactwa św. Wincentego, a „w drodze łaski tylko“ otrzymali klasztor tutejszy.

Przyczyną złej gospodarki było zapewne i to, że prepozyci zmieniali się zbyt często,

bo co trzy lata. Niektórzy tylko dłużej tu rządili, ale i ci niewiele przynosili klasztorowi korzyści, bo wydzierżawiali folwarki swym krewnym, którzy dzierżawy płacić nie chcieli, a nawet usiłowali przywłaszczyć sobie dzierżawione włości.

Najważniejszą jednak przyczyną upadku dóbr tutejszego klasztoru było chyba to, że nienasycony Tyniec, posiadający przeszło sto wsi i pięć miast, wybierał stąd ofiary i daniny wbrew wszelkiemu prawu. Bywali też prepozyci tutejsi upominani przez władzę archidyecezyalną, że bezprawnie tam wydają pieniądze.

Na początku niniejszej wiadomości o Kościelnej Wsi zaznaczyłem, że benedyktyni nie pozostawili na miejscu żadnych śladów o norbertanach, owszem zatarli wszelką o nich wiadomość, fałszując sobie dokument nadawczy. O sobie także nie wiele zostawili wiadomości, bo garść szpargałów przy kościele się znajdujących, to przeważnie sprawy sądowe z XVIII w. Słusznie upomina ich za to niedbalstwo wizytator klasztoru w r. 1781; Komisya Skarbu Koronnego, widząc małą ilość dokumentów, przypuszcza, że ostatni prepozyt ukrył je i poleca mu w roku 1790 wykonać na to przysięgę.

Już wyżej wspominałem, że w roku 1782 otrzymuje prezentę od Stanisława Augusta na tutejsze probostwo ks. Sebastian hr. Sierakowski; w marcu następnego roku instaluje go na nie ks. Dorpowski, kanonik gnieźnieński. Sierakowski nigdy tu nie mieszkał, mając do zarządu dóbr kościelnych plenipotentą, a do obsługi parafii dwóch wikaryuszów, z których jeden był komendantem.

Skoro po pierwszym rozbiore Polski Tyniec dostał się pod panowanie Austrii i dobra jego zostały skonfiskowane, stracił też prawo prezenty do kościelnej Wsi; przywilej ten przeszedł na króla. Stosownie do uchwały sejmowej, głoszącej, że wszystkie dobra po duchowieństwie zakordonowem mają być zabrane na skarb, Kościelna Wieś miała uleść temuż losowi. Dzięki jednak staraniom Sierakowskiego, który udowodnił, że dobra tutejsze nigdy nie należały do Tyńca, jeżeli zaś pobierał on stąd jakie dochody, to tylko przez nadużycie praw i, że opaci tynieccy mieli tylko przywilej prezenty na stanowisko tutejszych prepozytów, stało się jednak inaczej.

Uratowawszy dobra od zaboru na Skarb Koronny, nie przypuszczał, że w lat siedem uratować ich nie zdoła przed zaborem pruskim.

Objąwszy probostwo, ks. Sierakowski w d. 5 lipca 1783 r. wypłaca ostatniemu benedyk-

<sup>1)</sup> Liber Beneficiorum Joannis de Lasco. Tom II, str. 40.



tyńskiemu prepozytowi, ks. Sadowskiemu, 3,224 złp. 7 gr. tytułem wynagrodzenia za inwentarże i gospodarcze sprzęty oraz obowiązuje się wypłacać mu rocznie do śmierci na utrzymanie 2,500 złp.

Ogólny dochód z dóbr w r. 1789 wynosił 11,479 złp. 24 gr. Kościelna Wieś przynosiła 9,712 złp. 17 $\frac{1}{2}$  gr. — podatku z niej zapłacono 1,742 złp. 15 gr. Wieś Piotrów dała dochodu 1,341 złp., podatku zapłacono 268 złp. 6 gr. Krzywosądowa przyniosła 1,176 złp. — podatek wynosił 235 złp. 6 gr. Głogowo dostarczyło dochodu 620 złp. 5 $\frac{1}{2}$  gr. — podatku dano 124 złp. 1 gr. Z samej Kościelnej Wsi sprzątnięto 197 wozów siana, 447 $\frac{1}{2}$  kop żyta; 189 $\frac{1}{2}$  kop pszenicy. Wódki sprzedano 150 garncy po 4 złp. i 8 gr.; piwa 49 beczek po 10 złp. i 20 gr.

W r. 1797 d. 29 grudnia całe dobra zostały skonfiskowane przez rząd pruski i ofiarowane na własność Piotrowi Fryderykowi de Friebenfeldt; ks. Sierakowskiemu, którego Prusacy uważali za donatariusza Stanisława Augusta, przeznaczono dożywocia 1,000 talarów. Zapomniano jednak o wikaryuszach, których tu dwóch pracowało; dopiero po długich korespondencyach konsystorza kaliskiego wyznaczył rząd pruski takie dla nich utrzymanie, jakie przedtem otrzymywali od ks. Sierakowskiego.

Obdarowany Friebenfeldt nie długo posiadał dobra kościelne, gdyż już w roku następnym sprzedaje je ks. Karolowi landgrafowi Hessen-Darmstadskiemu, ten zaś w r. 1806 odstępuje królowi bawarskiemu, Maksymilianowi; od którego nabywa je w roku 1843 Zakrzewski. Następnie są w posiadaniu Modelskich, od których nabyli je Kreczunowicze.

Ponieważ konwencją pomiędzy gabinetami petersburskim, wiedeńskim i berlińskim w roku 1797 postanowiono, że dochody duchownych zagranicą mieszkających, należą do skarbu publicznego, a ks. Sierakowski rzeczywiście stale mieszkał w Krakowie, nakazał rząd pruski właścicielowi dóbr kościelnowiejskich wносить powyższą sumę do kasy powiatowej w Odolanowie. Dopiero po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, kiedy Galicya Zachodnia, jak również i Kalisz z okolicą, zostały wcielone do tegoż Księstwa, ministerium spraw wewnętrznych zawyrokowało, by suma omawiana nie była wnoszona do kasy, ale oddawana do rąk ks. Sierakowskiego.

Rząd pruski, konfiskując dobra kościelne, zabrał i większą część gmachu klasztornego, zostawiwszy proboszczowi dwa pokoje i kuchnię.

Jak widzimy, niezbyt to było wygodne pomieszczenie, zwłaszcza, że wilgotne i frontem gmach jest zwrócony do dworskiego podwórza. To też proboszczowie tutejsi od początku ubiegłego wieku już to sami, już przez swą władzę duchowną upominali się u rządu, by im oddano cały dom do użytku lub też, by dominimum wybudowało dla nich nowy. Lata całe ciągnęła się ta sprawa; zapadło nawet kilka wyroków Komisji Wojewódzkiej pomyślnych dla proboszczów. Dominimum gmachu nie oddawało i nowego domu nie stawiało: wina to ówczesnych proboszczów. Tymczasem mieszkanie proboszczowskie starzało coraz więcej, aż w r. 1890 proboszcz ks. Mikulski wybudował z dobrowolnych ofiar parafian nowy dom, do którego się przeniósł, a mieszkanie w gmachu zostało zajęte przez miejscowe dominimum, jako niby doń należące.

Niebywały to wypadek w naszych kościelnych stosunkach, by probostwa, mające za sobą 750 lat przeszłości, nie miało posiadać własnego mieszkania dla swych proboszczów.

Podobna krzywda stała się tutejszemu probostwu i z zabudowaniami plebańskimi. Rząd pruski, zabrawszy proboszczowi dobra i ofiarowawszy je Friebenfeldtowi, zobowiązał go, by utrzymywał proboszczowi cztery krowy w swoich oborach na swojej paszy tak zimą jako i latem. Z biegiem lat proboszczowie i to utracili, pozostawszy bez zabudowań gospodarczych. Krowy zaś, jeśli dominimum pozwalało im paść na swych pastwiskach, to tylko w drodze łaski.

Ale nie tylko proboszcz został pokrzywdzony. Służba kościelna podczas zaboru zamieszkiwała dom kościelny, w którym ją zostawiono, ale skutkiem zmian właścicieli majątku, przenoszono ją z jednego domu do drugiego. Skoro organista uporządkował sobie nowe mieszkanie, a to się spodobało jakiemu służącemu, to po roku lub dwu przenoszono go do innego. Skończyła się ta tułaczka służby kościelnej dopiero wtedy, kiedy biedny organista wybudował sobie własny dom i w nim zamieszkał. Przed dziesięciu laty obecny właściciel Kościelnej Wsi w zamian za zabrane mieszkanie proboszczowskie w poklasztornym gmachu wybudował dla służby kościelnej dom murowany, w którym się ona do dziś mieści<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Powyższe wiadomości podaję do „Ziemi” jako skrót obszerniejszej pracy, umieszczonej w „Kronice Dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej” z 1908 r., dokąd interesujących się przeszłością tej starożytnej wsi odsyłam.





Elżbieta Parys-Nowicka.

## ARKADYA.<sup>1)</sup>

„..... Niech będą z cyprysów gaiki,  
Mruczące po kamyczkach gdzieś  
strumyki,  
Tu kiosk, a tu meczecik, holenderskie  
wanny,  
Tu domek pustelnika, tam kościół  
Dyany, —  
Wszystko jak od niechcenia, jakby od  
igraszki.  
Belwederek małeńki, klateczki na  
ptaszki,  
A tu słowik miłośnie szczebioce do  
ucha,  
Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha;  
A ja sobie rozmyślam pomiędzy  
cyprysy  
Nad nieszczęściem Pameli albo  
Heloisy...“

Szydłił biskup Krasicki z powszechnej w Polsce XVIII wieku mody, dla której wzorem była Francja, treścią — sentymentalizm Rousseau'a, formą — czule, sielankowe pozy Watteau. Ów sentymentalizm, pod którym kryła się zazwyczaj próżność i chęć błyszczenia w świecie, króluje zarówno u dworu, jak w salonach miejskich, w życiu towarzyskim i w stroju, w sztuce i literaturze, w architekturze i ogrodnictwie. W całej niemal ówczesnej Europie budownictwo i ogrodnictwo, rozwinięte na stylu włoskim, przerodziło się w przesadny, sztuczny konwencyonalizm francuski. Wszędzie, zamiast szlacheckiego renesansu — barocco i rococco. „We wszystkich stolicach, obok wielkich rezydencji, powstają na taką modłę drobne, wypieszczone, igliczne pałace i grotty“<sup>2)</sup> — Trianon, Schönbrun, Sans-Souci. Jakżeby im Polska nie miała sprostać!... Zakrzętały się różne polskie Pamele i Heloizy czasów stanisławowskich i — „nuż do dzieła!...“ Nie szczędziły trudów i złota... Za pol-

skie dukaty zaślubiło się w pańskich rezydencjach od marmurów, bronzów i kryształów, zaroiło od artystów — Włochów i Francuzów, i wnet zrodziły się „wcielone sielanki“ — Mokotów, Sielce, Królikarnia, Ursynów, Powązki, Puławy, Arkadya i jeszcze inne, pełne „gajków“, „strumyków“, „meczecików“ i „belwederków“, więcej lub mniej uroczych, artystycznie albo tylko błyskotliwie ozdobionych.

Z pośród tych sielankowych rezydencji — bogactwem cacek i smakiem artystycznym wyróżniała się Arkadya pod Łowiczem. Założycielka Arkadyi, ks. Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa<sup>1)</sup> była jedną z tych kobiet, co to za Stanisława Augusta sływały „w tłumnych salonach stolicy i na galeryach sali sejmowej“, trzęsły dworem królewskim i sejmem, podbijały wdziękiem, sprytem, często patriotyzmem, a najczęściej — intrygą... A księżna Helena przewyższała je podobno<sup>2)</sup>. Wychowana w artystycznej atmosferze dworu wojewodziny Czar-toryskiej w Siedlcach, „artystka z urodzenia, filozofka z usposobienia“, ks. Radziwiłłowa była jedną z pierwszych gwiazd wielkiego świata, który ją zwie boginią, Minerwą, Armidą, Wróżką, ale który często tyranizuje swoją miłością i hołdami... Zresztą w ówczesnym środowisku intryg, ambicyi, obłudy, nierządu, w środowisku, o którym mówi satyra:

„Generał śpi — żołnierz leży,  
Tylko jedna Venus czuje...“

musi zrodzić się niesmak... Ks. Helena tęskni do ciszy, do ustronia, pragnie zbudować świątynię, gdzieby, jak mówi sama, znalazła ucieczkę od cierni świata albo — „de ses pénibles“

<sup>1)</sup> Helena Radziwiłłowa, córka Antoniego Radziwiłła, podkanclerzego W. Ks. Litewskiego. Matka jej — Katarzyna z ks. Ogińskich, siostra Michała Kazimierza ks. Ogińskiego, pretendenta do korony polskiej.

<sup>2)</sup> „Jaśnieje wdziękiem, pięknnością, rozumem, twórczem poczuciem piękna, także charakterem nieulekniomym, sądem przenikliwym i jasnym darem wielkiej dyplomacyi księżna wojewodzina wileńska“. Przegląd Polski, 1885.

<sup>1)</sup> Arkadya — wieś, gmina Nieborów, pow. łowicki nad rz. Skierniewką czyli Łupią, 5 wiorst od Łowicza; należy obecnie do ks. Radziwiłłów.

<sup>2)</sup> L. Dębicki. Puławy, Lwów 1887.



ŁUK RZYMSKI ZE ŚWIĄTYNIĄ DYANY W GŁĘBI, W ARKADYI, POW. ŁOWICKI.

fol. J. T. Grotkowski.

jouissances...“ Nie wystarcza jej zbyt duża rezydencja w Nieborowie: za ludno tu i za gwarno. Zresztą, wszystko tu gotowe, odziedziczone po przodkach. A księżnę syci duch twórczy... Aby zaś najcięższe zwalczyć przeszkody i dać ujście energii, potrzebie ruchu i czynu, księżna postanawia założyć sielankę — Arkadyę tam, gdzie była dawniej wieś Łupia, „uboga posada na pograniczu sosnowych lasów, wśród trzęsawisk i moczarów“. Tu właśnie „z dzikiego ustronia“ stworzy księżna — „gaj bogów“.

Grunta Arkadyi, położone prawie nad ujściem rzeczki Skierniewki do Bzury, wraz z wioską Łupią, były od dawna w posiadaniu kolegiaty łowickiej. Częste spory między wsią Łupią a majątnością prymasów gnieźnieńskich — Bobrownikami o granicę skłoniły na koniec kol. łow. do wymiany wsi Łupi na jedną z włości, należących do arcybiskupów gnieźnieńskich. W ten sposób Łupia stała się własnością prymasów. Księżna Radziwiłłowa, upatrzywszy sobie owe grunta na arkadyjską bogów siedzibę, rozpoczęła energiczne starania o dalszą wymianę: uzyskuje podpisy wszystkich kanoników, zgodę dwu kapituł polskich, sejmu,

papieża, nuncjusza papieskiego w Warszawie i — po dwóch latach (od 1776—1778 r.) Łupia przechodzi w ręce Radziwiłłów. Księżna robi dalsze starania u dworu pruskiego i ministra Vossa o kupno dóbr myśłakowskich, aby powiększyć grunta Łupi, przezwanej Arkadyą. Bierze się do pracy. Walczy z niestychanymi trudnościami. Skarży się nieborowski rządca, Siatecki, że mu księżna każe na wiosnę, gdy roboty w polu najpilniejsze, przewieźć kilka tysięcy lip, klonów, jesionów i dębów; każe je sadzić, zaprowadzać modne aleje, trawniki i kwietne klomby „na miejscu, gdzie sosna za ledwo rosta“; każe z pól Myślakowa i okolicznej pustki olbrzymie głazy, bryły kamieni zwozić „o sile chyba wszystkich nieborowskich wołów“, i budować żelazną windę do dźwigania najcięższych z tych olbrzymów. Na wiosnę 1780 r. Skierniewka, ujęta w karby, tworzy pienistą kaskadę, jest i rzymski wodociąg i porfirowe kolumny i marmurowe pomniki, greckie arkady i rzymskie łuki, „kioski“ i „meczeciki“, a z Petersburga przez morze Bałtyckie do Gdańska płynię cały transport marmurów dla Arkadyi. Księżna Radziwiłłowa pisze „Rozprawę o sztuce“, zawiązuje gorliwiej jeszcze, niż przedtem,



fot. J. T. Grotkowski.

ŚWIĄTYNIA DYANY W ARKADYI, POW. ŁOWICKI.

stosunki z artystami, prowadzi korespondencję z Norblinem, panią Vigée-Lebrun i innemi; szuka rady i pomocy u ks. Izabeli Czartoryskiej, wskrzesicielki Puław. Robi plany wspólnie z budowniczym Włochem Ittarem, jednym z tych „florenczkich dyabłów“ (jak go nazywał rządcą Siatecki), i przystępuje do budowy świątyni Dyany czy Minerwy czy też Salomona, bo różnie ją nazywano. Był to wykwintny budynek grecki „kwadratowy we środku na zewnątrz okrągły, z kolumnadą jońską u wejścia, z posągami we wnękach, z szerokim tarasem, prowadzącym schodami do brzegów pięknego jeziora<sup>1)</sup>. Na frontonie budowli napisy włoskie: *M'involo d'altrui per ristorar me stessa*<sup>2)</sup> albo inny: *Dove pace trovai, dogni mia guerra*<sup>3)</sup> — są świadectwem nietylko filozoficznych upodobań księżnej Heleny, ale i — ducha czasu: użycie, szal, zapomnienie, a potem — nuda, niesmak, przesyt, może i gorycz — szukają wytchnienia w „cichym zakątku“. Rozumie

się, musiał to być „zakątek“, rozjaśniony tajemniczym światłem alabastrowych lamp, owiany mistycznym obłokiem kadzidel, osłodzony towarzystwem — greckich i rzymskich bogów, albo czułych pasterzy i pasterek, a więc — zakątek wykwintny, no i — modny...

Droga dzika wśród głogów i cierni, złamanych arkad i rozbitych odłamów — ciężka droga cierpień, rozczarowań i zniszczonych nadziei — prowadziła do świątyni Dyany czy Minerwy — symbolu prawdziwej mądrości; a tam, u jej stóp — czyste wody jeziora — to orzeźwienie i jasny spokój... W przedsionku świątyni miłość zapalała pochodnię. A dalej — „jakby naukowy gabinet“: na ścianach zbiór malowideł, przedstawiających pomniki starożytności, „dobrana biblioteka“, ogromne organy. Znow jakieś schronienie, w rodzaju „małej łaźni“, a na straży — bożek milczenia... Na suficie właściwej świątyni „Jutrzenka otwiera świtu podwoje“ — to freski sławnego Norblina<sup>1)</sup>, budzące podziw i zachwyt znawców. Był

<sup>1)</sup> Przegląd Polski, 1885.

<sup>2)</sup> „Uciekam od ludzi, by odnaleźć siebie“.

<sup>3)</sup> „Tu odnalazłam pokój po żywota wojnach“.

<sup>1)</sup> Freski w Arkadyi pod Łowiczem Norblina. Spr. Hist. szt. VI.



tu i „oltarz przyjaźni“<sup>1)</sup>, i trójnog wyroczni, „z marmuru i spiżu greckiej najprzedniejszej rzeźby posągi, pólpiersia, wazy, obrazy, perskie makaty, pajęczce Indów szale...“<sup>2)</sup> Nie brakowało filozoficznych i pretensjonalnych napisów, półświatel i półcieni, nieuchwytnych tonów, słowem, — obfitość podniet artystycznych; nie dziw, że oczarowany był Niemcewicz, gdy w r. 1812 zwiedzał Arkadyę.

W głębi starodrzewnego parku — posągi bojów i „posągów ułamki“, czary do ofiar, amfory do wina, kolumny z napisami Egipcyan, Greków, Arabów, obeliski z granitu i spiżu. „Cyrkus czyli obwód do gonitw wozowych“. Amfiteatr „z ciosowego kamienia, stoi do użytku gotowy...“ Ówdzie znów zwaliska Pompei do złudzenia udają rzeczywistość. Na każdym kroku „ślady greckiej i rzymskiej wspaniałości“. A klamrą, zamykającą ten skarbiec, „końcem poematu“ — Arkadyi był domek Filemona i Baucis, którego „wierzch podobien do chaty — wnętrze do świątyni“, lśniło od kryształowych ścian, konch i ozdób kosztownych<sup>3)</sup>.

W miarę, jak ks. Radziwiłłowa usuwa się od świata, a może w miarę, jak się starzeje — rozwija swój arkadyjski „poemat“. Po epoce klasycznej — epoka średniowieczna, chrześcijaństwo. Oto w parku buduje księżna pustelnię anachorety, dalej — przybytek gocki, wyrastający wśród skał olbrzymich ostrym łukiem, z długim jakoby korytarzem, co poprzez szereg ostrołuków wiódł do coraz nowszych budowli. Średniowieczny dom rycerski, tymczasowe gościnie schronienie dla przebywających tu artystów. U zawrotu spadzistej ścieżki — „skalista pustynia“ z wejściem przez zawałoną granitami jaskinię — miejsce pokuty... W niespełna rok po śmierci ostatniej córki, Anieli, księ-

żna przystępuje do budowy świątyni tybetańskiej<sup>1)</sup> — w kształcie grobowca czy sarkofagu, odosobnionej, posępnej, gdzie „arcykapłanka“ Arkadyi spędza długie godziny na wspomnieniach, rozmyślaniu, na czytaniu Fénelona, Bossueta, Chateaubrianda. Wiosną i latem księżna Radziwiłłowa nie rozstaje się ze swoją „milszą nad inne arkadyjską ziemią“; gości tutaj swoich i cudzoziemców, urządza uroczyste obchody przy dźwiękach rzymskich trąb i greckich fletni; podczas wojny Aleksandra I z Napoleonem podejmuje w Arkadyi, choć niezbyt chętnie, to Francuzów, to Saksończyków, upiększa arkadyjski „poemat“ i przeżywa — swój własny...

Lata bieżą. Na kraj spada klęska za klęską. „Wcielone sielanki“ i „poematy“ zarządy od silnego podmuchu wiatrów północy... I oto marmury, brzozy, „najprzedniejszej rzeźby“ legły pod gruzem... Arkadyjskie pola zaniosło piaskiem niepamięci... Z prawdziwie artystycznej umiłowanej rezydencji ostatniej wojewodziny wileńskiej zostały dziś zaledwie nikłe ślady.

W szesnastomorgowym parku, zawsze jeszcze imponującym obszarem i starodrzewem, bieleje — widna poprzez łuk rzymski, zielskiem zarosły — jońska kolumnada słynnej świątyni Dyany, nazewnąt dobrze jeszcze zachowanej. Wewnątrz — kilka zapomnianych bezgłowych posągów na tle ścian pustych... Jedyną chlubą i chwałą dzisiejszej Arkadyi — freski Norblina. Dotąd jeszcze „Jutrzenka otwiera świtu podwoje...“ Ale świtu nie widać... Jak dawniej, obszerny taras świątyni prowadzi ku brzegom jeziora, którego wody okrył i, zda się, przytłoczył ciężki płaszcz rzęsy, sitowia i tataraku, a czas oddał jej królowanie — żabom. Zniszczeniu oparły się jeszcze olbrzymie głazy „pustelni“, gdzie — jak utrzymuje ks. Marya Würtberska — było niegdyś miejsce spoczynku sentymentalnych pasterzy i zalotnych nimf leśnych... Dziś w tajemniczych mrokach „pustelni“ drzemią — niestrzeżone przez pasterzy — krowy, a górną część pamiątkowych ruin objęły w posiadanie — praczki; latem w pobliżu ruin na przeciągniętych wzdłuż starej alei sznurach suszy się — bielizna...

Uciekasz w głąb parku. Tam przynajmniej

<sup>1)</sup> W Arkadyi miała przyjaźń nietylko swój „oltarz“, ale i „przybytek“. Był to dom wykwintny, zbudowany naprzeciw świątyni Dyany, po drugiej stronie jeziora. Tutaj w sypialni ks. Radziwiłłowej, na tle ścian, ozdobionych również freskami Norblina, przedstawiającymi widok Powązek (letniej siedziby ks. Czartoryskich), obok rzymskiego łoża księżnej stało wśród kwiatów i światel alabastrowe popiersie ks. Izabeli Czartoryskiej, a na złotym łańcuchu wisiał medalion, zawierający... włosy obu przyjaciółek.

<sup>2)</sup> J. U. Niemcewicz. Podróże historyczne, Petersburg 1859.

<sup>3)</sup> Wnętrze podobnej — pasterskiej chatki ks. Izabeli Czartoryskiej na Powązkach przedstawiało wartość pół miliona duk.

<sup>1)</sup> Bronzowe drzwi świątyni przedstawiały anioła śmierci, gaszącego pochodnię życia — kopia rzeźby watykańskiej, nabyta przez księżnę w Petersburgu. Wnętrze zdobiły kopie Sejdelmanna.



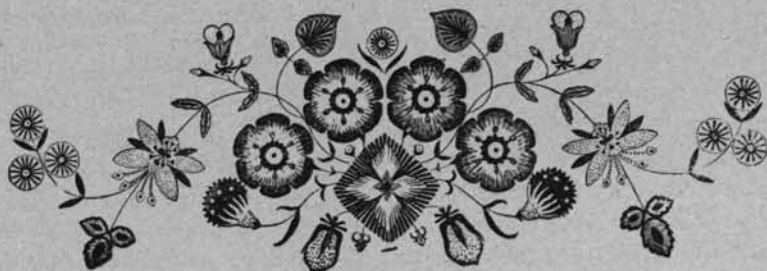
po dawnemu szumią drzewa, po dawnemu za-  
wodzą chóry ptactwa...

To wszystko...

Z owego arkadyjskiego „poematu“ najpię-

kniejsze karty wyrwała brutalna ręka... naj-  
wspanialsze obrazy zatarł czas...

Została zeń tylko — piękna oprawa: py-  
szna zieleń starych lip, jesionów, klonów, dębów.



## ZBIORY POLSKIE.

B. Janusz.

### Zbiór broni Stanisława Kruka we Lwowie. <sup>1)</sup>



ST. KRUK.

fol. B. Janusz.

Zamiłowanie zbierackie to właściwość wrodzona, lub wywołana pewnego rodzaju potrzebą, koniecznością. W pierwszym wypadku rozbudza ją najczęściej jakaś okoliczność uboczna, popychająca człowieka do zajęcia się gromadzeniem okazów; bez niej, w największej ilości wypadków, osobnik taki pozwala zaniknąć w sobie wrodzonym skłonnościom i nigdy nie staje się kolekcjonerem. Przy sprzyjających zaś warunkach, rozbudzony raz zapal, gruntuje się coraz silniej, wzrastając z czasem w rozpęd niepohamowany. Przypadkowi zawdzięcza osobnik podobny rozbudzenie zamiłowania swego, a dalszej praktyce ustalenie kierunku i udoskonalenie sposobów uzupełniania zawartości skrzyń, szaf, pudeł i szuflad. Charakterystyczne jest, iż z pomiędzy zbieraczy tego rodzaju rzadko tylko rekrutują się ludzie, którzyby w rezultacie bezpośrednio oddali się pracy naukowej, i rolę swą ograniczają oni wyłącznie prawie do pośrednictwa między materiałem naukowym a uczonym—i to w najlepszym tylko razie. Najczęściej bowiem, nie kryjąc się z tem wcale, powiadają, iż zbierają „tylko dla swej wyłącznie

przyjemności“. Dogadanie takie swoim przyjemnościom to dowód najlepszy, iż zbieraczami są od urodzenia, i to poniekąd niezależnie od samych siebie, i podlegają pewnego rodzaju nałogowi, który jest sprężyną całej ich działalności. O ile zamiłowaniu takiemu przyświeca znajomość przedmiotu i pewna wiedza, to zbiór kompletowany posiadać może wartość rzeczywistą. W przeciwnym zaś razie jest to tylko skład rupieci i tandety wszelkiego rodzaju.

Inny gatunek zbieraczy, to ludzie, gromadzący okazy w celach ściśle naukowych, potrzebujący podobnego materiału w pracach specjalnych, przez siebie samych podejmowanych. Takich jest zazwyczaj o wiele mniej, a rozumiało jest, iż zbiory ich większą posiadać muszą wartość od gromadzonych przez zbieraczy nałogowych, jako kompletowane według ściśle nakreślonego programu, obejmującego najczęściej pewne zamknięte całości. Kolekcje ich, włączone do muzeów publicznych, stanowią prawdziwą ozdobę, ale niestety zbyt rzadką u nas na razie, jak też nielicznymi są zbieracze tego pokroju.

Jest jeszcze trzeci rodzaj, ale to już pseudo-zbieraczy, najczęściej reprezentowany przez osobniki, które już z charakteru swego narodowego nie są zdolne do traktowania czegoś z bardziej idealnej strony, pojmując i zamiłowanie kolekcjonerskie, jako dobrze rentujący się „interes“. Przedstawiciele tego kierunku, to oczy-



wiecie nieuki, maskujący się blagierstwem, a pozujący na znawców, byle tylko i z tego kapitału wykuć dochód jakiś moralny, a najczęściej materialny. Zbieracz taki, spryciarz zazwyczaj pierwszej klasy, zbiera wszystko i zna się na wszystkim, bo i jakby to było możliwe, żeby kupiec nie miał mieć wszystkiego w swoim handlu. A nuż się trafi ktoś, kto zapyta o to i o to! Dobrze mieć wszystko, bo wtedy „handel“ idzie lepiej. Dla naiwnych jest się znawcą, a dla dowcipniejszych požądaniem źródłem. A z jednego i drugiego miewa się korzyści realne! Zbiera więc podobny kolekcjoner, o zacięciu semickim, wszelkie możliwe i niemożliwe „okazy“, począwszy od etykiet z pudełek na smarowidło do butów, a na dziełach sztuki skończywszy! Wobec niewtajemniczonych robi minę przewidującego, wyprzedzającego kolekcjonerstwo i nakreślającego mu nowe kierunki („bo kto to wie, czego ludzie nie będą kiedyś zbierali“?), a wobec krytyczniej usposobionych stara się okazać, iż jest zbieraczem, co się dopiero wyrabia. Oczywiście w parze z tem idzie upodobanie w rozgłosie, zdobywanym za wszelką cenę. Usłużnym się jest wobec wpływowym, podejmuje się na wielką skalę zakreślonych reorganizacji (oczywiście tylko w gębie) na mocy samemu sobie łaskawie ofiarowanego mandatu, formuje się bloki i jednym słowem robi się „działaczem“.

W szeregu opisów naszych zaznajamiamy tym razem czytelników z jednym z najciekawszych lwowskich zbiorów prywatnych, dającym się właściwie ująć w jeden ze wspomnianych powyżej typów. Właścicielem jego jest, znany w całej niemal Galicyi ze swych mistrzowskich wyrobów antycznych, majster stolarski p. Stanisław Kruk. Kilka przyczyn złożyło się na to, iż stał się on, jeszcze czterdzieści lat temu, zbieraczem starożytności, a przedewszystkiem broni. Wielką w tem rolę odegrało najbliższe sąsiedztwo domostwa p. Kruka, a mianowicie Zamarstynów, obfitujący w liczne ślady i resztki nieprzeliczonych bitew i kampanii, stoczonych na jego terytorium — również i zawód fachowy nie pozostał bez wpływu. W pracowni p. St. Kruka oglądać można coraz to nowe, najczęściej przepyszne antyczne meble mahoniowe, oddane mu do umiejętnego restaurowania, w czem mistrz nasz celuje oddawna. Z niezwykłym zamiłowaniem oddaje się on antykom, wracając im po mistrzowsku dawny pyszny wygląd — od lat szeregu to go przedewszystkiem zajmowało, i nie dziw, że zbudziło się w nim zamiłowanie do starożytności. Wrodzona skłonność i oko-

liczności sprzyjające, uczyniły zeń kolekcjonera broni, uważanego powszechnie we Lwowie za najzasobniejszego w rzeczy istotnie cenne i ciekawe. Przyjaźnie ułożyły się p. Krukowi stosunki z tego względu, że zaczął gromadzić swe liczne okazy w czasach, kiedy zbyt małą miał jeszcze do zwalczania konkurencję, oczywiście dla braku interesujących się zabytkami. W rezultacie zaś jest dzisiaj właścicielem prawdziwego arsenału, którym się pieści i którego dogląda w wolnych od hebla i piłki chwilach. Nad dwa te zajęcia nic chyba innego nie istnieje dla istotnie dzielnego i sympatycznego p. Kruka, który dziwnie nie po lwowsku potrafił uszlachetnić w rękach swych zawód swój piękny, czyniąc zeń dumę swą i zaślugę. Wrodzoną inteligencję potrafił uzeńtrznąć tak w pracy zawodowej, jak w całym życiu i w zamiłowaniu zbierackim. Nie dziw też, że oceniając, zresztą skromnie, wartość swą osobistą i pomny na to, czemu ją przedewszystkiem zawdzięcza, z naciskiem zawsze zaznacza, iż jest „majstrem stolarskim“. Dzięki też temu szanowany jest i respektowany, goszcząc w swem domostwie nie rzadko i najwyżej postawione osobistości, które z oczywistym zadowoleniem pogwarzyć lubią ze stolarzem o starożytnej broni i czasach minionych. Pan Kruk jednak i nadal pozostaje tylko majstrem stolarskim.

Żyłkę zbieracką ma p. S. Kruk wrodzoną, a rozwinął ją dzięki okolicznościom sprzyjającym. Oddany pracy zawodowej, a przytem nie mający najmniejszych pretensyi do wiedzy zbierackiej i naukowej, zdobył znajomość rzeczy praktyką samą w ciągu lat długich. Nieobyty z katalogami, aukcyami, antykwaryatami i t. p. aparatem kolekcjonerskim, nie mniej przeto nie da się „nabrać“, posiadając „nos wyrobiony“ i praktykę nie byle jaką. Wiedzę praktyczną okupić musiał zapewne niejednym niepowodzeniem, ale widać dość wczesnie posiadał ją, kiedy dzisiaj w zbiorach jego chyba wyjątkiem wielkim jest falsyfikat lub sztuka podejrzana. Wszystko co posiada, to rzeczy bardzo ciekawe, cenne, a nierzadko jedyne w swoim rodzaju. I nie zmienia tej oceny fakt, iż właściciel o niejednej sztuce ma inne przekonanie, jakby się patrzyło. Okazy te niemniej są wartościowe, chociaż mylnie może zdeterminowane. Jak każdy dobry zbieracz, tak i p. Kruk posiada u siebie okazy specjalnie mu miłe i drogie — z czemś podobnem nie rozstałby się za nic w świecie, uważając je za perły swego skromnego zbioru, jak powiada zazwyczaj. Rad



jednak widzi gości, którzy rzetelnie potrafią się zająć na kilka godzin oglądaniem skarbów, zebranych przezeń w jednej wielkiej komnacie.

Korzystajmy więc z łaskawej życzliwości i zajrzyjmy do arsenału, ulokowanego w przedmiejskim dworku na Zamarstynowie.

D. N.



Stanisław Lencewicz.

## Notatka do mapy archeologicznej.

W Kuznocinie, majątku p. Smoleńskiego, przy kopaniu torfu natrafiono na kości i naczynia.

Kuznocin leży nad Bzurą o kilometr od Sochaczewa. W odległości kilkuset metrów od obecnego łożyska Bzury, na lewym tarasie rzeczonym leży aluwialny torf, a w nim znajdowano pnie drzew, obrabiane ręką ludzką, gdyż w jednym z nich były 3 otwory.

W tym samym miejscu znaleziono rogi jelenie, kości z kończyn tych zwierząt, pozornie wyglądające na wyrobione sztucznie, oraz inne szczątki zwierzęce.

Poza tem w torfie były dwa naczynia. Jedno z nich, jak mi mówił p. Smoleński, było otoczone kamieniami i nakryte pokrywą. Widziałem z niego skorupy dobrze wyrobione z jasnej gliny; było to naczynie średnich wymiarów. Drugie, niewielki garnek o 3 uszach, również z gliny dobrze wyrobionej, częściowo pokryte jest zieloną polewą i posiada ornament stempelkowy tego rodzaju, że każde wyciśnięcie, jak i cały ich kompleks posiada kształt trójkąta. Wysokość naczynia 11 cm., średnica 7 cm., średnica dna — 4,5 cm. Załączona ry-

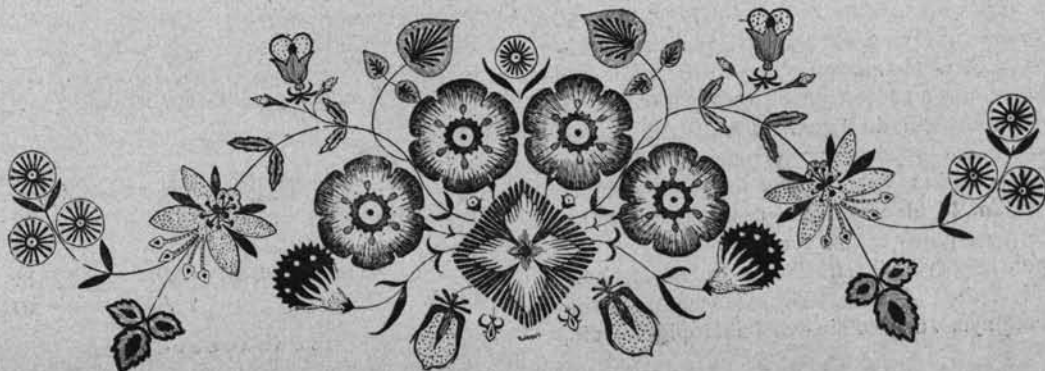


fol. St. Lencewicz

URNA ZE ZBIORÓW POLSK. TOW. KRAJOZNAWCZEGO,  
WYKOPANA W KUZNOCINIE, POW. SOCHACZEWSKI.

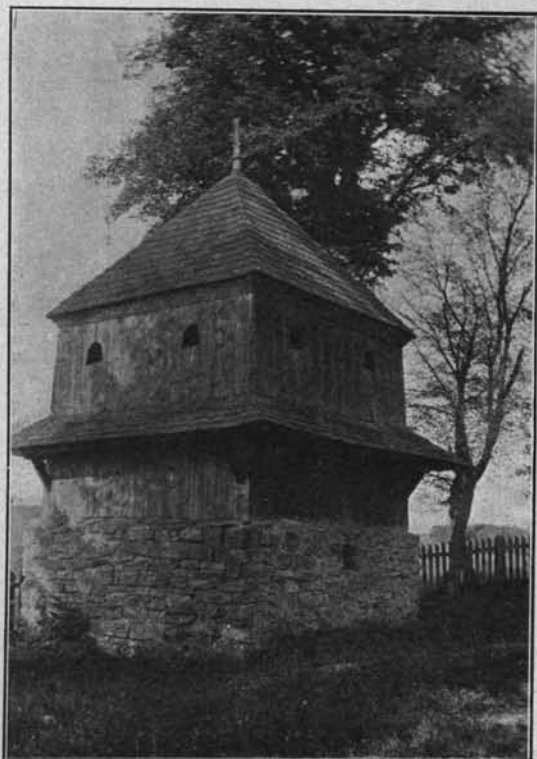
cina przedstawia ów wczesno-historyczny garczek.

Naczynie to i kości kończyn przekazał p. Smoleński do zbiorów Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



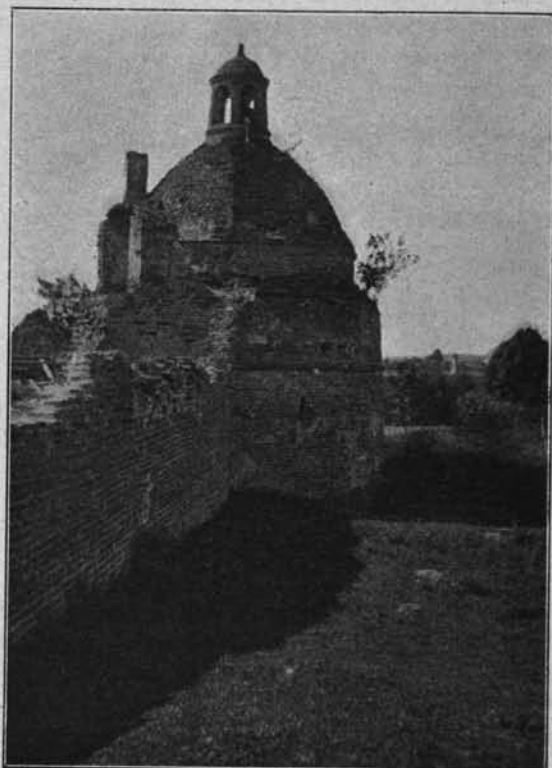


## ZABYTKI POLSKIE.



DZWONNICA W STAREM SIOLE, POW. BÓBRECKI.

fol. A. Meissner.



BASZTA ZAMKU W SOKOLU, POW. KAMIONECKI.

## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.

Przebieg pogody w miesiącu czerwcu 1913 r.

Sprawozdanie Kom. Fizyograficznej P. T. Kr.



Pogoda w ubiegłym czerwcu odznaczała się na ziemiach polskich, jak zresztą w całej Europie Zachodniej, szczególnym zmiennym przebiegiem. Po dniach ciepłych i jasnych następowały kilkakrotnie dnie pochmurne i chłodne w stosunku do pory roku.

Większe gorąca z najwyższą temperaturą dzienną około 30° C. występowały tylko w pierwszych dniach miesiąca, między 3 a 5 czerwca; również i około 19 oraz 25 czerwca temperatury popołudniowe przekraczały 20° C. w cieniu.

W pozostałych zaś okresach termometr nie dochodził często nawet do 15° C., a najniższe temperatury nad ranem spadały parokrotnie poniżej 5°. Szczególnie chłodno było w czasie od 12 do 17 czerwca; w dn. 15 obserwowano nawet temperatury poniżej zera na powierzchni gruntu.

Temperatury średnie miesięczne wahały się około 15° w Królestwie Polskim. W porównaniu ze stanem przeciętnym za ostatnie dwudziestopięćlecie,

czerwiec tegoroczny był chłodniejszy z górą o jeden stopień w średniej miesięcznej.

Liczby godzin słonecznych, notowane za pomocą heliografów, wynosiły: w Warszawie 209, w Siłniczce 177, a w Jędrzejowie 250 godzin słonecznych w ciągu czerwca.

Opady były poniżej normy w miesiącu sprawozdawczym; wahały się one przeważnie w granicach od 40 do 60 mm. w sumie miesięcznej, jakkolwiek zachodziły pod tym względem dość znaczne różnice w poszczególnych terytoriach Królestwa Polskiego. Większe wysokości opadów (do 100 mm. i wyżej) notowano w czerwcu tegorocznym na Wołyniu, Podolu i w Galicyi Wschodniej.

Niżej są zamieszczone niektóre dane ze stacyi P. T. Kr.

a) Temperatura:

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 15°,1 Temp. maks. + 29°,1 dnia 3-go. Temp. minim. — 3°,6 dnia 16-go.

b) Opady:

	Wysokość w mm.	Liczba dni
Ostrołęka (Łomżyńskie)	61,6	12
Suchedniów (p. kielecki)	46,6	10
Wysokie (p. krasnostawski)	63,9	14
Jędrzejów	29,5	10

oooooooo



## Ze stowarzyszeń.

Proszono nas o zaznaczenie, że Akad. Klub Turystyczny, zwyczajem co roku praktykowanym, przenosi się z dniem 15 b. m. do Zakopanego, ul. Krupówki 51, gdzie wszelkie sprawy, dotyczące Klubu, załatwiać będzie wiceprezes Włodz. Antoniewicz, do którego strony interesowane zechcą się zwracać ustnie lub piśmiennie. Przypomina się przytem, że A. K. T. posiada w Zakopanem schronisko, zaopatrzone w kilkadziesiąt łóżek do odnajmowania uczestnikom wycieczek A. K. T. i innym po cenach umiarkowanych. Sezon zakopiański kończy się z dn. 30 sierpnia, poczem A. K. T. urzędować będzie we Lwowie ul. 3-go Maja 10, I p.

oooooooo

## Nowe książki.

*Ks. Józef Rokosznny. Pamiętki Sandomierza. Ludzie i rzeczy. Z ilustracjami. Str. 186+II.*

Książka ta jest właściwie drugą edycją wydanych w r. 1902 „Świętych pamiętek Sandomierza”, których dobre przyjęcie i szybkie względnie, jak na nasze stosunki wydawnicze, rozprzedanie skłoniły autora do nowego nakładu. Nie jest to zresztą martwy przedruk, gdyż treść zwiększyła się więcej niż w dwójnasób: do dwunastu dawnych obrazków przybyło nowych piętnaście, powstały zatem dwie serye, nie różniące się zresztą nazbyt ujęciem przedmiotu i kolorytem. Do opisów zabytków i wspomnień miasta, że tak powiemy „zasadniczych”, przybyło nieco rzeczy drobniejszych, drugoplanowych, ale doskonale ogólny charakter i nastrój miasta uwypuklających. Całość utrzymana jest w tonie bardzo jasnym, bardzo przystępnym, obliczonym na czytelnika nawet zupełnie nieprzygotowanego, co nie wyłącza jednak bynajmniej ani gruntownej znajomości tematu, ani uwzględnienia najnowszych wiadomości naukowych o Sandomierzu w szczególności, o życiu i organizacji miast, sposobie fortyfikowania twierdz w wiekach średnich i t. p. — wogóle. Książka, napisana dobrą i poprawną polszczyzną, przepojona ogromnem umiłowaniem odtworzonej przeszłości może oddać rzetelne usługi przy popularyzowaniu historii miasta wśród warstw, do których wiadomości te dotychczas zgoła nie docierały.

Poza tem zaś przez zestawienie pięknych i poetycznych legend, wijących się koło Sandomierza jak bluszcz koło ruin, może być miłą i wdzięczną lekturą dla każdego, kto to przeszliczne miasto pamiętek poznawszy — umiłuje.

T-t.

*Jan Gwalbert Pawlikowski. Kultura a natura. Osobne odbicie z Lamusa IV. Wydanie staraniem Sekcji Ochrony Tatr Towarzystwa Tatrzańskiego 1913 r.*

„Kultura współczesna mieści w sobie pierwiastki przyczyniające się do degeneracyi człowieka w stopniu daleko wyższym, niż to było w czasach dawniejszych” — to jest pierwsza i główna teza, którą autor rozwija ze stanowiska psychologicznego, hygienicznego i społecznego, i przechodzi następnie do rozważania środków, jakich się przeciwko swej degeneracyi ludzkość ima, aby rosnące zło powstrzymać i proces szpecenia coraz większego przez tak zwaną „kulturę” przyrody ojczystej nieco zahamować.

Mamy tu przy sposobności zobrazowane te różne sposoby, jakich się w różnych krajach chwytano, by ochronę przyrody na racjonalnych ugruntować podstawach.

Naogół książka pełna pięknych myśli, wyrażonych w dosadnej formie.

Główny bieg swych myśli autor zamknął w następującem streszczeniu:

Człowiek pierwotny żył w zespole z przyrodą, stanowił z nią jedność i nie zdawał sobie sprawy, jaka ona mu jest droga. Potem oddalił się od niej, zateśknił i poczuł ku niej miłość. Zapragnął powrotu... Ale ten powrót nie jest przywróceniem stosunku pierwotnego: wytworzył on stosunek zgoła nowy.

Człowiek pierwotny żył z przyrodą i z przyrodą. Stawiał swój dom jak go stawia bóbr, zaopatrywał się w łup jak ryś lub wydra, karmił się owocem i ziarnem, jak ptaki, gromadził zapasy jak chomik i przerabiał je jak pszczoła. Żył z przyrody, ale jej nie niszczył. Lecz gdy rozmnożył się zbyt i spotężniał, stał się dla niej plagą jak myszy lub szarańcza. Wtedy ujrzał ją odartą z wesolej zieleni, spostrzegł się i zatrzymał. Postanowił chronić ją przed własnem lupiestwem i przywrócić jej piękność i zdrowie. Ale to, co osiągnąć zamierzał, osiągnąć się nie da — stan dawny minął bezpowrotnie; ten, co przyjdzie, będzie zgoła czemś nowem.

Kultura wyszła z przyrody i nosiła długo na sobie jej cechy; potem zwróciła się przeciw niej. A kiedy pod nowoczesnem hasłem „ochrony” zawiera z nią znowu przymierze, to pod wpływem tego prądu odnowiona przyroda nie będzie już tem, czem była dawniej: będzie ona nieodzownie nosić na sobie cechy tworów kultury. Tylko, miejmy nadzieję, nie tej kultury filisterskiej i barbarzyńskiej, która z miłości do przyrody zrobiła sobie modną suknię, lub pojęła ją jako źródło nowych kramarskich zysków, ale kultury prawdziwej, wewnętrznej kultury ducha i serca. Hasło powrotu do przyrody to nie hasło abdykacyi kultury — to hasło walki kultury prawdziwej z pseudo-kulturą — to hasło walki o najwyższe kulturalne dobra.

K. K-ć.

*Dr. Aleksandr Majkowski. Źródle Raduni. Przewodnik po Szwajcaryi Kaszubskiej z mapą i 22 ilustracjami.*



cyami. Warszawa 1913. Nakładem Pol. Tow. Krajoznawczego. Str. 113+II.

Książką swoją zadosyćczynił autor tak nagle, co pilnej potrzebie, że już za sam pomysł należy mu się szczerze i wdzięczne uznanie, zwłaszcza, gdy Przewodnik jest istotnie wyborny. Co do rzeczywistej „nagłości” tej potrzeby niema chyba i być nie może wątpliwości. Zalewanie wielotysięcznym tłumem gości kąpielowych wybrzeża morskiego nie pociągalo, jak dotychczas, bynajmniej za sobą gruntowniejszego zapoznawania się z krajem, zwiedzania dalszych — poza niemiecką osadą Helą i zniemczoną Oliwą — okolic, po których snuły się rzesze wszelkich narodowości z wyjątkiem — polskiej. O piękności „Kaszubskiej Szwajcaryi” wiedziało się coś nie coś — z książek lub ze słyszenia. A zbędnie będzie zapewne rozwodzić się, jaki wpływ pojawienie się polskiego turysty mogło mieć w tych okolicach na odrodzenie ich narodowe. Słuszną do pewnego stopnia wymówką mógł służyć brak odpowiednich ku temu wskazówek, planów podróży, opisów. Dlatego pozwoliliśmy sobie podkreślać „nagłość” sprawy i dlatego cieszymy się, że tę dotkliwą lukę w naszej literaturze krajoznawczej zappełnił nie kto inny, tylko dr. Al. Majkowski, znany i zasłużony działacz kaszubski, a niewątpliwie jeden z najlepszych znawców kraju, ludzi i stosunków.

O tem, czem jest książka i na czem jej wartość polega, mają czytelnicy nasi pojęcie z drukowanego

niedawno w piśmie naszym większego ustępu, poświęconego ludności pow. kartuskiego, jej sztuce, rzemiosłom i obyczajom. Jest to właśnie rozdział III „Przewodnika”, który łącznie z ogólnym poglądem geograficznym i wyczerpująco a sumiennie traktowaną historią kraju stanowi część ogólną. Poza tem idzie część szczegółowa, zawierająca nietylko opis wszystkich ważniejszych miejscowości, ocenę zabytków i dane z przeszłości, ale i wskazówki praktyczne, znakomicie ułatwiające swobodę ruchów turystów, zwłaszcza, że książka nie jest kompilacją, ale ścisłym i rzeczowym opisem kraju, ludzi i zabytków, na własne żywo i uważnie patrzące oczy widzianych. Tem łatwiej też autorowi kierować wędrowca polskiego tam, gdzie uważa za stosowne, gdzie wie, że będzie mu mógł coś istotnie ciekawego i ważnego pokazać. Niema jednak, ani w treści ani w tonie, żadnych tendencji szowinistycznego ukrywania rzeczy, choćby obcych, choćby nawet niekiedy stworzonych ręką nam wrogą, ale mających wagę i doniosłość bezwzględną. Tem się ten polski „Przewodnik” różni bardzo korzystnie od wręcz niesmacznych niekiedy przewodników niemieckich.

T-t.



## Od Administracji.

**Prosimy Sz. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III i drugie półrocze.**

**TREŚĆ:** *St. Matusiak* — Jeszcze o naszej drużynie weselnej (c. d.). *Ks. Stanisław Muznerowski* — Kościelna wieś pod Kaliszem (dok.). *Elżbieta Parys-Nowicka* — Arkadya (z 2 ryc.). *B. Janusz* — Zbiór broń Stanisława Kruka we Lwowie (z 1 ryc.). *Stanisław Lenczewicz* — Notatka do mapy archeologicznej (z 1 ryc.). Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Poza tekstem: Dziewczęta z Jackowic, pow. łowicki. Dzwonnica w Starem Siole, pow. bóbrecki. Baszty zamku w Sokolu, pow. kamionecki.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Mareszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.